



dyrektor  
i kierownik  
Stowarzyszenia  
JOZEF SZALWA

dyrektor  
STANISLAW GEBICKI

TEATR  
STUDIO

WARSZAWA  
PKiN  
1972

NOS

dyrektor  
i kierownik  
artystyczny  
**JÓZEF SZAJNA**

zastępca  
dyrektora  
**STANISŁAW GĘSICKI**



ZBIGNIEW MORSZTYN

# NOS

Nos — abo mały? — mój rym niechaj teraz  
będzie,

A to dla tej przyczyny, że tych pełne  
wszędzie,  
Którzy to śliczne oczy, to ręce pieszczone,

To już złote warkocze prze rymy uczone  
Na pamiątkę potomnym wiekom opisali,

W czym oraz i swój bystry dowcip pokazali.  
Ze ją Muza wielkiego mistrza ozdobiła.

A o nosie ni wzmianki, jakby też to członek  
Aż nawet broda z wąsem tak szczęśliwa była,

Był podlejszy i jakby on nie był potomek  
One go nosa, który gdzieś nad niebiosami

Między innymi wszystkich rzeczy ideami  
Ma niepoślednie miejsce; owszem, znakomicie

Widzieć go tam, a ono na złotym pulpicie  
Tamże zaraz przy brodzie i przy wąsie blisko

Usiadło wieczne nosów śmiertelnych bożysko.  
Jeszcze na wyższym miejscu, tak że zawsze

z góry  
Z swych nieprzebranych studzien obfite

likwory,  
Właśnie jako więc z fontann po bujnym

ogrodzie,  
Tak puszcza po obu dwu wąsach i po brodzie,

Z tamtego tedy nosa na świat posyła ją  
Formę, w której tu wszystkie nosy odlewają.

I tak właśnie podobny jako jajo jaju,  
Ale jak broda brodzie, jako wąs wąsowi,

Tak żeby był we wszystkim równy nos nosowi  
Takich dwu nosów w żadnym nie ukazesz

kraju.

O, cny nosie, co chcesz sam nad niebiosami,  
Jednak po wszystkim świecie szafujesz

nosami!

Od ciebie one dawne niewyrodne plemię  
Cesarzów, którzy całą zhołdowali ziemię,

Było tak obdarzone, że aż uchylali  
Nosów swoich przed tymi, którzy ich mijali.

Ze też nie upośledził i mnie, sługi swego,  
Za to na dowód chęci i serca wdzięcznego

Przyjmi ten wiersz ode mnie, o nosie cnotliwy,  
Dobry mój przyjacielu, a gdy uszczypliwy

Język sięgać cię będzie zazdrościwym głosem,  
Broń się, nieboże, i spraw, żeby poszedł

z nosem.

Mikołaj Gogol

# NOS

(fragment noweli)

Pod datą 25 marca zaszło w Petersburgu niezwykle dziwne wydarzenie. Cyrulik Iwan Jakowlewicz, zamieszkały na bulwarze Wozniesieńskim (nazwisko jego gdzieś się zapodziało i nawet na szyldzie, gdzie pokazany jest jegomość z namydlonym policzkiem i napis: „Krew też się puszcza” — nie ma niczego więcej), cyrulik Iwan Jakowlewicz przebudził się dosyć wcześniej i poczuł zapach gorącego chleba. Podniósłszy się trochę na łóżku, zobaczył, że jego małżonka, dama dość już szanowna, przepadająca za kawą, wyciągała z pieca świeżo upieczone bochenki.

„Dzisiaj, Praskowio Osipowna, nie będę pił kawy — powiedział Iwan Jakowlewicz — a — zamiast niej chciałbym zjeść gorącego chleba z cebulą”. Właściwie to Iwan Jakowlewicz miałby ochotę na jedno i drugie, ale wiedział, że absolutnie nie wolno mu było żądać obu rzeczy naraz, gdyż Praskowia Iwanowna nie znosiła takich zachcianek. „Niechaj dureń je chleb, tym lepiej dla mnie — pomyślała sobie małżonka — zostanie dodatkowa porcja kawy”. Po czym rzuciła na stół jeden bochenek.

Iwan Jakowlewicz dla zachowania przyzwoitości włożył frak na koszulę i zasiadłszy za stołem, nasypał soli, obrał dwie główki cebuli, wziął w rękę nóż i ze znaczącą miną zabrał się do krajania chleba. Rozkroiwszy chleb na połowy, zajrzał do środka i ku najwyższemu zdumieniu zobaczył, że coś tam bieleje. Iwan Jakowlewicz podłubał ostrożnie nożem i dotknął palcem. „Jędrne — powiedział sam do siebie — co to mogłoby być?”

Wetknął palce i wyciągnął — nos!... Iwan Jakowlewicz opuścił ręce; zaczął przecierać oczy i macać nos, naprawdę nos, a ponad to, wydawało się, jakby nos znajomy. Przerazenie ukazało się na twarzy Iwana Jakowlewicza. To przerazenie jednak było niczym w porównaniu ze wściekłością, jaka opanowała jego małżonkę.

„Gdzieżeś ty, zwierzaku, oderznął nos? — wykrzyknęła z gniewem — łajdaku, opoju! Sama na ciebie doniosę policji. Zbój skończony! Przecież już od trzech ludzi słyszałam, że podczas golenia tak tarmosisz za nosy, że ledwie się trzymają”.

Lecz Iwan Jakowlewicz zupełnie stracił głowę. Poznał, że ten nos był ni mniej ni więcej tylko nosem asesora kolegiального Kowalewa, którego golił w każdą środę i niedzielę.

— Poczekaj, moja droga. Zawinę go w szmatkę i położę w kąciaku. Niechaj tam sobie trochę poleży. Potem go wyniosę. — Nawet i słuchać nie chcę. Miałabym pozwolić, żeby w moim pokoju leżał jakiś oderżnięty nos?... Ty wypetłzy pędzlu! Umie toto tylko machać brzytwą po pasku, ale swojego małżeńskiego obowiązku wkrótce całkiem nie będzie zdolny wypełniać, wywłoka, niedołęga! Może mam za ciebie odpowiadać przed policją? Ach, ty partaczu, ty kłodo nieociosana! Precz z nim! Precz! Zabieraj się z nim, gdzie chcesz! Żebym nawet i swędu po nim nie poczuła.

\* \* \*

Asesor kolegiálny Kowalew obudził się dosyć wcześnie i zrobił ustami: „brr...”, co robił zawsze, kiedy się budził, chociaż sam sobie nie umiał wytłumaczyć, z jakiego powodu. Kowalew przeciągnął się i kazał sobie podać niewielkie lustro, które stało na stole. Chciał rzucić okiem na przyszyk, który mu wyskoczył na nosie wczorajszego wieczora. Z największym

jednak zdumieniem zobaczył, że zamiast nosa ma zupełnie gładkie miejsce! Wystraszywszy się, Kowalew kazał podać sobie wody i przetarł oczy ręcznikiem: istotnie, nosa nie było. Zaczął macać ręką, żeby się przekonać, czy naprawdę nie śpi? Wydawałoby się jednak, że nie śpi. Asesor kolegiálny Kowalew wyskoczył z łóżka, otrząsnął się: nosa nie było!... kazał natychmiast podać sobie ubranie i udał się co tchu prosto do oberpolicmajstra.

\* \* \*

Nagle stanął jak wryty przed drzwiami jednego z domów. Na jego własnych oczach zaszło wydarzenie zupełnie niepojęte. Przed podjazdem zatrzymała się karetka. Drzwiczki się otworzyły. Wyskoczył schylając się pan w mundurze i pobiegł schodami w górę. Jakież to był przestach i zarazem zdumienie Kowalewa, kiedy poznał, że był to jego własny nos! Na ten niezwykły widok wydawało się mu, że wszystko wiruje mu w oczach, poczuł, że ledwie trzyma się na nogach. Postanowił jednak mimo wszystko czekać na jego powrót do karety, chociaż trząsał się cały jak w febrze. Po dwóch minutach nos istotnie wyszedł. Był w mundurze naszytym złotem z wielkim stojącym kołnierzem. Miał na sobie zamszowe pantalone i szpadę przy boku. Po kapeluszu z pióropuszem można było poznać, że przysługuje mu ranga radcy stanu. Wszystko wskazywało, że udaje się gdzieś z wizytą. Rozejrzał się na obie strony, krzyknął do stangreta: „Ruszaj!”, wsiadł i odjechał.

Biedny Kowalew omal nie dostał pomieszczenia zmysłów. Zupełnie nie wiedział, co ma myśleć o takim dziwnym wydarzeniu. Czyż to możliwe w samej rzeczy, żeby nos, który jeszcze wczoraj znajdował się na jego twarzy i wobec tego nie mógł ani jeździć ani chodzić — paradował w mundurze!

\* \* \*

Wszedłszy do swego pokoju, major, zmęczony i smutny, rzucił się w fotel i wreszcie po kilku westchnieniach powiedział:

„Mój Boże, mój ty Boże! Za co spotyka mnie takie nieszczęście? Gdybym stracił rękę albo nogę, byłoby to mimo wszystko lepsze. Gdybym stracił uszy, byłoby to wstrętne, ale łatwiejsze do zniesienia. Jednak człowiek bez nosa to diabli wiedzą co: ptak i nie ptak, obywatel i nie obywatel. Po prostu wziąć to i wyrzucić za okno! I bodaj by mi nos odcięto na wojnie albo w pojedynku, albo gdybym ja sam tu zawinił; ale przecież nos mi zginął nie wiedzieć za co i nie wiedzieć po co, zginął za darmo, za psi grosz!... Ależ nie, to niemożliwe — dodał po krótkim namyśle — to nie do wiary, żeby nos mógł zginąć, to zupełnie nie do wiary. Zapewne to mi się tylko śni we śnie, albo po prostu przywiduje. Może tak jakoś przez omyłkę wypilem zamiast wody tej wódki, którą nacieram sobie brodę po gołniu. Iwan, idiota, jej nie sprzątnął i ja zapewne łyknąłem”. — Żeby się rzeczywiście przekonać, że nie jest pijany, major uszczypnął się tak boleśnie, że aż krzyknął. Ból przekonał go całkowicie, że działa i żyje na jawie.

\* \* \*

Tymczasem pogłoski o tym niezwykłym wydarzeniu rozeszły się po całej stolicy i to, jak zazwyczaj bywa, nie bez szczególnych dodatków... Wkrótce zaczęto opowiadać, że nos majora Kowalewa punktualnie o trzeciej po południu przechadza się po Newskim Prospekcie. Codzień zbiegało się tam mnóstwo ciekawych. Ktoś powiedział, że nos miał się jakoby znajdować w magazynie Junkera i przy Junkerze powstał taki tłok i ścisk, że nawet musiała wdać się w to policja... pewien zaśluzony pułkownik umyślnie po to wyszedł



adaptacja sceniczna  
i reżyseria:  
**BOHDAN KORZENIEWSKI**

Scenografia:  
JÓZEF SZAJNA

muzyka:  
EDWARD PAŁŁASZ

Kowalew, asesor kolegialny, major  
EUGENIUSZ KAMIŃSKI

Nos, nos majora Kowalewa w różnych po-  
staciach  
STANISŁAW MICHALIK

Iwan, służący Kowalewa  
JÓZEF WIECZOREK

Iwan Jakowlewicz, cyrulik  
CZESŁAW ROSZKOWSKI

Urzędnik w kantorze ogłoszeń  
KAZIMIERZ MERES  
ZYGMUNT MACIEJEWSKI

Doktor  
WIESŁAW DRZEWICZ

Rewirowy  
GABRIEL NEHREBECKI

Oficer policji  
WIESŁAW NOWOSIELSKI

Policjanci:  
BERNARD MICHALSKI  
JERZY MATAŁOWSKI  
WIESŁAW NOWOSIELSKI  
KRZYSZTOF KALCZYŃSKI

Urzędnicy:  
JERZY MATAŁOWSKI  
JACEK JAROSZ  
KRZYSZTOF KALCZYŃSKI  
BERNARD MICHALSKI  
GABRIEL NEHREBECKI  
WIESŁAW NOWOSIELSKI  
STANISŁAW MICHALIK

Kawalerowie:  
JACEK JAROSZ  
KRZYSZTOF KALCZYŃSKI  
BERNARD MICHALSKI  
WIESŁAW NOWOSIELSKI

Uczni:  
WIESŁAW NOWOSIELSKI  
WIESŁAW DRZEWICZ  
BERNARD MICHALSKI  
JERZY MATAŁOWSKI  
LEON ŁOCHOWSKI  
GABRIEL NEHREBECKI  
KRZYSZTOF KALCZYŃSKI

Asesorowie:  
KRZYSZTOF KALCZYŃSKI  
LEON ŁOCHOWSKI  
WIESŁAW NOWOSIELSKI  
JÓZEF WIECZOREK

Konfidenci:  
KAZIMIERZ MERES  
ZYGMUNT MACIEJEWSKI  
KRZYSZTOF KALCZYŃSKI  
BERNARD MICHALSKI

Odźwierny:  
WIESŁAW DRZEWICZ

Pisarczyk:  
JACEK JAROSZ

Praskowia Osipowna, małżonka cyrulika  
OLGA BIELSKA

Pelagia Podtoczyzna, pułkownikowa  
ALEKSANDRA KARZYŃSKA

Jej córka  
IWA MŁODNICKA

Damy:  
JOLANTA HANISZ  
EWA KOZŁOWSKA **EWA KOZŁOWSKA**  
WIESŁAWA NIEMYSKA  
EWA WAWRZON  
HELENA NOROWICZ

Dziewczyny lekkich obyczajów:  
OLGA BIELSKA  
JOLANTA HANISZ  
EWA KOZŁOWSKA  
WIESŁAWA NIEMYSKA  
EWA WAWRZON  
HELENA NOROWICZ

Konfidentki:  
JOLANTA HANISZ  
EWA WAWRZON  
HELENA NOROWICZ

Zebraczki:  
JOLANTA HANISZ  
OLGA BIELSKA  
EWA KOZŁOWSKA  
WIESŁAWA NIEMYSKA  
HELENA NOROWICZ  
EWA WAWRZON

Żebak:  
LEON ŁOCHOWSKI



wcześniej z domu i z największym trudem przepchał się przez tłum. Jednak ku największemu oburzeniu zobaczył w oknie magazynu tylko wełniany kubrak oraz litografowany obrazek, który przedstawiał dziewczynę poprawiającą pończochę i podglądającego ją zza drzewa franta w wyciętej kamizelce i z niewielką bródką. Obrazek ten już od dobrych dziesięciu lat wisiał na tym samym miejscu. Odszedł więc i powiedział z gniewem: „Jakże można tak głupimi i nieprawdopodobnymi pogłoskami podburzać lud?”

\* \* \*

Skończone brednie wyrabiają się na świecie. Czasami nie ma w nich ani odrobiny prawdopodobieństwa. Nagle bowiem ten sam nos, który paradował po mieście w randze radcy stanu i narobił tyle zamiętu ocknął się jak gdyby nigdy nic znowu na swoim miejscu, a mianowicie między dwoma policzkami majora Kowalewa. Wydarzyło się to już dnia 7 kwietnia.

Obudziwszy się i spojrzawszy odruchowo w lustro, major widzi nos! Łap ręką — naprawdę nos! „O, no, no!” — powiedział Kowalew, omal się nie puścić na bosaka w taniec po całym pokoju, ale mu wejście Iwana przeszkodziło. Rozkazał natychmiast podać sobie miednicę i myjąc się jeszcze raz spojrzął w lustro: nos!

— Popatrz — no, Iwanie, zdaje mi się, że mam na nosie coś jakby pryszczyk — powiedział i jednocześnie pomyślał: „Co to będzie, jak Iwan powie: nie, proszę pana, nie tylko pryszczyka, ale i nosa pan nie ma!”

Iwan jednak powiedział:

— Skądże znowu, nie ma pan żadnego pryszczyka: nos jest gładki. „Przyjemnie, do diabła!” powiedział do siebie major i strzelił w palce.

\* \* \*

Oto jaka historia wydarzyła się w północnej stolicy naszego rozległego państwa.

stwa! Dopiero teraz po rozważeniu wszystkiego widzimy, że jest w niej mnóstwo nieprawdopodobieństwa. Nie mówiąc już o tym, że naprawdę dziwne jest to nadprzyrodzone usamodzielnienie się nosa i pojawianie się jego w różnych miejscach w randze radcy stanu — to jakże Kowalew mógł się nie spostrzec, że nie wolno zawiadamić o nosie za pośrednictwem ogłoszenia w gazecie?... To nieprzyzwoite, niewłaściwe, nieładne! I znowu — jak nos znalazł się w pieczonym chlebie i jak sam Iwan Jakowlewicz, cyrulik?... nie, tego ja zupełnie nie rozumiem, stanowczo nie rozumiem! Jednak najdziwniejsze i najmniej zrozumiałe w tym wszystkim to to, że autorzy mogą podejmować podobne tematy. Muszę przyznać, że to już przekracza wszelkie granice, że to naprawdę... nie, nie, zupełnie nie rozumiem. Po pierwsze ojczyzna nie odniesie stąd żadnych korzyści, a po wtóre... po wtóre również nie odniesie korzyści. Po prostu nie wiem, co to za...

A jednak przy tym wszystkim, chociaż oczywiście można przypuścić i to, i owo, i jeszcze co innego, i może nawet... gdzież jednak nie zdarzają się niedorzeczności? — Mimo wszystko jednak, kiedy się człowiek zastanowi, to w tym wszystkim, doprawdy, coś jest. Cokolwiek by się mówiło, to podobne wydarzenia zachodzą na świecie. Rzadko, ale zachodzą.

Przełożył Bohdan Korzeniewski

Mikołaj Gogol

## WYJŚCIE Z TEATRU PO PRZEDSTAWIENIU NOWEJ KOMEDII

(urywki)

Przedsiónek teatru. Po jednej stronie widać schody prowadzące do łóż i galerii, po środku wejście na parter i do amfiteatru, po drugiej stronie wyjście. Słychać daleki odgłos oklasków.

Autor sztuki (wchodząc)

Wyrwałem się jak z odmetu! Otóż na koniec i okrzyki, i oklaski!... Otóż i sława!... Teraz... Chłodny rozsądek lat sprawia, że nawet byle kto zmądrzeje. Wreszcie się zrozumiało, że oklaski nie wiele znaczą i że każdemu mogą się dostać w nagrodę: czy aktor zgłębi wszystkie sekrety człowieczego serca i duszy, czy tancerz posiadzie umiejętność wyczyniać nogami wygibasy, czy magik — wszystkim towarzyszy grzmot oklasków! Nie, teraz pragnąłbym nie oklasków. Teraz pragnąłbym przenieść się nagle do łóż, na galerię, na parter, na paradyz, przeniknąć wszędzie, usłyszeć poglądy i wrażenia wszystkich, póki są jeszcze dziewicze i świeże, póki nie poddały się jeszcze wyjaśnieniom i zdaniom znawców i dziennikarzy, póki każdy zostaje pod wpływem swojego własnego sądu. Jest mi to potrzebne. Jestem komikiem. Wszystkie inne dzieła i gatunki podlegają sądowi nielicznych, jedynie komik podlega sądowi wszystkich. Każdy widz ma już do niego prawo, każdy człowiek bez względu na zawód staje się jego sędzią... Niechaj nawet pokpi sobie ze mnie, niechaj niezyczliwość wykrzywi mu usta, stronnictwo, oburzenie, nienawiść, wszystko co kto chce, ale niechaj ujawnią się te ognie. Słowo nie może być wypowiedziane bez powodu i wszędzie może się zaproszyć iskierka prawdy...

(dwóch comme il faut korpulentnej budowy schodzi ze schodów)



Pierwszy comme il faut  
Jak się nazywa ta młodzianka aktorka? Nie wiesz?

Drugi comme il faut  
Nie, ale wcale nie brzydka.

Pierwszy comme il faut  
Tak, wcale nie brzydka, lecz czegoś jej jeszcze brakuje. A tak, polecam ci nową restaurację. Wczoraj podano nam młody, zielony groszek (całuje końce palców) rozkosz!

(obaj wychodzą)

Pan cywilny, wytwornie ubrany (schodząc ze schodów)

Nicpoń krawiec uszył mi za ciasne spodnie, przez cały czas było mi strasznie niewygodnie siedzieć. W zamian mam zamiar teraz się z nim podroczyć i ze dwa latka nie zapłacę mu długu.

(odchodzi)

Również pan cywilny, nieco tęższy (mówi żywo do drugiego pana)

Nigdy, nigdy możesz mi wierzyć, nie zasiądzie z tobą do gry. Mniej niż półtora sta rubli robra nie grywa. Znam go dobrze, bo mój zięć gra z nim codzień.

(odchodzi)

Urzędnik w średnim wieku (wychodząc z rozłożonymi rękami)

To poprostu diabli wiedzą co!... To coś takiego... coś takiego... To nie wiadomo co.

(odszedł)

Pan nieco beztroski wobec literatury (zwracając się do drugiego)

Przecież to jest mimo wszystko, jak się wydaje, przekład.

Drugi.

Zlituj się pan, jaki znowu przekład?

Pan nieco beztroski wobec literatury.

Jednak pamiętam, że było coś takiego po francusku, chociaż nie zupełnie w tym rodzaju.

Jeden z dwóch widzów (również wychodzących)

Teraz jeszcze widzieć nic nie można. Poczekaj, co powiedzą w dziennikach, wtedy się dowiesz.

Dwie bekieszki (jedna do drugiej)  
No, i co? Chciałbym znać pański pogląd na sztukę.

Druga bekieszka (wykonując znaczące ruchy nogami)

Tak, oczywiście, nie można powiedzieć, żeby nie było w tym czegoś... w swoim rodzaju... Jednak, oczywiście, ktoś mógłby być przeciwny temu, żeby znowu nie było i... gdzie w samej rzeczy, jeśli można tak rzec... a zresztą... (potwierdzająco zaciskając usta). Tak, tak.

Dwóch oficerów.

Pierwszy.

Jednak nie, jeszcze zobaczymy, co powiedzą w prasie. Należy to poddać osądowi krytyki... patrz, patrz! (targa go za ramię)

Drugi.

Co?

Pierwszy.

(Wskazując palcem na jednego z dwóch panów schodzących ze schodów)

Literat!

(Drugi (pośpiesznie)

Który?

Pierwszy.

Właśnie ten. Tss. Posłuchajmy, co powiedzą.

Drugi.

A ten drugi z nim to kto?

Pierwszy.

Nie wiem, nie wiadomo kto.

(obaj oficerowie odsuwają się i robią im miejsce)

Nie wiadomo kto.

Nie mogę wypowiedzieć się o wartości literackiej, ale wydaje mi się, że są tam dowcipne spostrzeżenia. Śmiało, śmiało.

Literat.

Zmiłuj się pan, co w tym dowcipnego? Cóż to za ton? Żarty nadzwyczaj płaskie. Prostackie, nawet plugawe.

Nie wiadomo kto.

A to zupełnie co innego. Mówię właśnie, że w odniesieniu do wartości literackiej nie mogę zabierać głosu. Zauważyłem tylko, że sztuka jest zabawna, sprawiła mi przyjemność.

Literat.

Nawet i nie zabawna. Pan mi zechce wybaczyć, ale cóż w niej jest śmiesznego, czym może sprawić przyjemność? Same niedorzeczności, ani akcji, ani w ogóle żadnego pojęcia.

Nie wiadomo kto.

Ależ tak, całkowicie się z panem zgadzam. W znaczeniu literackim, tak, w znaczeniu literackim sztuka nie jest śmieszna, ale w znaczeniu, jakby tu powiedzieć, postronnym coś w niej jest...

Literat.

A co mianowicie w niej jest? Daruje pan, ale i tego nawet w niej nie ma.

Nie wiadomo kto.

To prawda. Bardzo bystro pan to zauważył. Tak też myślałem. Sam teraz widzę, że sztuka jest brednią. Ale przecież tak od razu nie można tego zrozumieć. Nie mogę się wypowiadać w odniesieniu do literatury.

(obaj wychodzą)

Autor sztuki

Dlaczego mi tak ciężko na sercu? To dziwne, ale mi przykro, że nikt nie zauważył uczciwej osoby występującej w mojej sztuce. Tak, była jedna uczciwa, szlachetna osoba działająca w sztuce przez cały czas jej trwania. Tą uczciwą szlachetną osobą był — ś m i e c h. ...Nikt nie wystąpił w obronie tego śmiechu. Ja, komik, służyłem mu uczciwie i dlatego powinienem zostać jego obrońcą. Nie, śmiech jest znacznie donioślejszy i głębszy niż się przypuszcza... Nie mają racji ci ludzie, którzy głoszą, że śmiech nie wpływa na tych, przeciw którym jest skierowany, że łajdak będzie się śmiał pierwszy z łajdaka, wprowadzonego na scenę. Łajdak-potomek będzie się śmiał, ale łajdak-współczesnik nie zdobędzie się na śmiech!... Kpiny boi się nawet ten, który już niczego nie boi się na świecie.

Przełożył Bohdan Korzeniewski

Wydawca:

TEATR STUDIO

Warszawa, PKiN

maj 1972

opracowanie

graficzne

PIOTR SZADUJKIS

ilustracje

w tekście

JÓZEF SZAJNA

Wydawca:

# BIEŻĄCY REPERTUAR

Warszawa, PKiN

maj 1975

opracowanie

Ludwik Hieronim Morstin

MIKOŁAJ KOPERNIK

ilustracje

w tekście

Na kanwie utworów St. Ign.

Witkiewicza

scenariusz Józef Szajna

WITKACY

Stanisław Wyspiański

SĘDZIOWIE

scenariusz teatralny Helmut Kajzar

**W PRZYGOTOWANIU**

Shakespeare

MAKBET

Cena zł. 4,50

Wyd. 1. Warszawa 1975. 8000. A-104